Trwać przy zasadach

Rok 2017 jest rokiem Josepha Conrada (1857–1924), gdyż w tym roku przypada 160 rocznica urodzin pisarza. Z tej okazji przypominamy rozmowę prof. Floriana Śmieji z prof. Zdzisławem Najderem na temat twórczości Józefa Korzeniowskiego (Josepha Conrada) oraz zdewaluowaniu pojęć honoru i wierności.



Prof. Zdzisław Najder, fot. Fakt/Forum, Darek Iwański.

Prof. Zdzisław Najder to polski historyk literatury, wykładowca, specjalista od twórczości Józefa Konrada Korzeniowskiego. Był także przez wiele lat dyrektorem polskiej sekcji Radia Wolna Europa oraz doradcą w rządzie Lecha Wałęsy i Jana Olszewskiego. Wywiad z prof. Florianem Śmieją ukazał się po publikacji książki prof. Zdzisława Najdera „Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada" w 2000 roku. Prof. Zdzisław Najder był wówczas wykładowcą w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Mimo, że wywiad miał miejsce kilkanaście lat temu, niewiele się zdezaktualizował. Twórczość Josepha Conrada jest wciąż jak najbardziej współczesna, a problemy miejsca Polski w strukturach Unii Europejskiej, jak najbardziej aktualne.

Redakcja

Florian Śmieja: Z okazji ukazania się w Polsce Twoich szkiców o twórczości J. Conrada pt. „Sztuka i wierność" pozwól, że zadam ci kilka pytań. Piszesz, że Conrad był pisarzem anachronicznym, nie należącym do swojego czasu i że jego korzenie tkwiły w tradycji.

Zdzisław Najder: Tak, w sposobie widzenia problemów moralności i ludzkiej wspólnoty był związany z polską kulturą

szlachecko-inteligencką – a to już był w ówczesnej Anglii anachronizm. Jego wzory literackie – to książki Flauberta i Maupassanta, wydane ponad ćwierć wieku przed debiutem powieściowym Conrada. Ale równocześnie, i na tym zasadza się jego wielkość, stawianymi pytaniami i artystycznymi eksperymentami wybiegał w przyszłość. Wystarczy wspomnieć „Jądro ciemności", napisane w wieku XIX i czytane z przejęciem w XXI jak utwór niemal współczesny.

FS: Przecież jego powieści polityczne także nie straciły na aktualności.

ZN: Właśnie, pytania o przyszłość Rosji, rozdzieranej między autokrację a anarchię, postawione przez Conrada dziewięćdziesiąt lat temu, pozostają nadal otwarte. Ale to już wielokrotnie zauważono. Uderza mnie natomiast, że Conrad pisał – w roku 1905 w szkicu „Autokracja i wojna", i w innych pismach politycznych, o Europie w taki sposób, jakby przeczuwał i sugerował całkiem nam współczesne wysiłki integracyjne na naszym kontynencie. Widział w nich jedyny sposób na uniknięcie niszczących konfliktów. Był wielkim pisarzem europejskim, może pierwszym i najznakomitszym – w sensie przynależenia do trzech europejskich kultur, polskiej, francuskiej i angielskiej, i w sensie wyjątkowej świadomości bogactwa i różnorodności kultur narodowych, i w sensie podejmowania typowo europejskiej problematyki. Przyjrzałem się temu bliżej, kiedy

przygotowywałem do druku polski przekład wykładu o „Europie Conrada”, wygłoszonego jakiś czas temu w Londynie.



Józef Teodor Konrad Korzeniowski, fot. pinterest.

FS: Czyżby to zbieżność z twoją własną działalnością jako doradcy rządowego?

ZN: Masz rację. Uświadamiam sobie, jakie to są szczególne sploty. Zacząłem się zajmować Conradem pół wieku temu – na znak protestu politycznego, bo to był dla mnie pisarz pokolenia Akowskiego, pisarz wierności, którą komuniści wyszydzali. A w ciągu wielu lat od ogłoszenia (w podziemiu) pierwszego polskiego tekstu, postulującego wejście niepodległej Polski do Wspólnot Europejskich, zajmuję się praktycznie wypełnianiem politycznej wizji Conrada… Dzisiaj jestem przekonany, że nie ma dla nas ważniejszego zadania, niż integracja z Unią Europejską. Europa nie stoi w miejscu: ta na zachód od nas tworzy nowe struktury, podejmuje nowe wyzwania – i powinniśmy być ich uczestnikami, aby mieć wpływ na to, co się dzieje na kontynencie; ta na wschód też się zmienia, wcale nie na naszą korzyść – więc powinniśmy się zabezpieczyć**.**

FS: Nie jesteś zatem profesorem, który siedzi w swoim gabinecie?

ZN: Ależ siedzę, siedzę – też. W tej chwili mam przed sobą siedem prac magisterskich do oceny; pięć dojrzeje we wrześniu. Z tej dwunastki moich studentów, piszących prace na temat literatury amerykańskiej i angielskiej, aż troje chce się doktoryzować. A mam już i tak trójkę doktorantów. Masz jednak

rację, mnóstwo – może jeszcze więcej – czasu zabierają zajęcia tzw. publiczne. Tak już jest od ćwierć wieku, kiedy w maju 1976 r. ogłosiliśmy w konspiracji program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, a po tym jeszcze czterdzieści dziewięć kolejnych publikacji. M. in. tłumaczyliśmy, że nie ma niepodległej Polski bez zjednoczonych Niemiec i *vice versa*. Jakoś wtedy (1978) nikt nie wierzył. Po tym była Wolna Europa i przymusowa emigracja, a po powrocie Komitet Obywatelski, doradzanie prezydentowi Wałęsie (bezskuteczne) i premierom (czasem się udawało, jak z uznaniem niepodległej Ukrainy w 1991 r.). Jeszcze Klub Atlantycki, też w 1991 – zakładałem pierwszą grupę nacisku za wejściem do NATO. To jednak wcale nie wystarcza, teraz trzeba do Unii Europejskiej. Zajęć mi nie brak. Na szczęście moja żona niby narzeka, ale cały czas pomaga.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.

FS: Czy tak dla Ciebie ważnych pojęć honoru i wierności nie zdewaluowały niedawne czasy i nieludzkie doświadczenia ostatnich pokoleń?

ZN: Te pojęcia istotnie są przez wielu współczesnych uważane za anachroniczne**.** Warszawska „Więź” wydała jakiś czas temu specjalny numer o „Zagubionej cnocie honoru”. Nie łączę jednak wcale tego kryzysu wartości z okrucieństwami wojny i stalinowskiego terroru. Wręcz przeciwnie: kryzys wywołany jest przez życie z mniejszymi wymaganiami, przez modne hasła skuteczności, pogoń za powodzeniem i zyskiem, jednym słowem przez tryumfy moralnego pragmatyzmu. Nasze czasy nie lubią moralnej twardości, lubią miękkość, telewizyjny wdzięk, umiejętność reklamy. Myślę jednak, na podstawie znajomości współczesnej publicystyki polskiej, że zatrata tych wariackich wartości nie przechodzi bez żalu, bez poczucia straty. Stąd wielki autorytet Zbigniewa Herberta. Jego „Przesłanie Pana Cogito” jest tragicznym apelem – w imieniu honoru i wierności. Do

wierności odwołuje się też jego szkic „Duszyczka” w tomie „Labirynt nad morzem”.

FS: Wiem, że Tobie został dedykowany, z czego jesteś dumny. Lecz czy to aby nie jest wołanie na puszczy.

ZN: Nie jestem optymistą, ale też nie mam zamiaru się poddawać. Kiedy mnie wyciągają na wspomnienia o Zbyszku Herbercie, pada zwykle pytanie: na co wyście liczyli w roku 1951, odmawiając kolaboracji z komuną. Otóż nie liczyliśmy na nic. Ta etyka, o której mówisz, etyka wierności i honoru, nie odwołuje się do skuteczności i nagrody.

FS: Nie sądzisz chyba, że taką etykę mogłyby przyjąć nowe elity „z ich odwiecznymi lękami oportunistów”, jak się wyraził Zygmunt Kubiak?

ZN: Myślę, że głęboką przyczyną tego kryzysu, tej nawet zapaści moralno-ideowo-kulturowej, jaką widać w dzisiejszej Polsce, jest słabość, a często wręcz kapitulacja elit. To jest sprawa ciągnąca się od dwu pokoleń, chociaż nadal niejasno widziana. Nasi okupanci niemieccy i sowieccy wiedzieli, co robią, kiedy ze staranną nienawiścią wybijali elity. Tylko kiedy się mówi o elitach ma się zwykle na myśli inteligencję. Otóż moim zdaniem nie mniej ważny jest fakt, że wybito i zniszczono innymi sposobami elity przywódcze wśród chłopów, robotników i

rzemieślników. To byli ci, którzy stanowili bezpośrednie wzory dla swojego otoczenia. Wśród nich było najwięcej ofiar w okresie stalinowskim. I te właśnie elity najstaranniej i najskuteczniej rozbijano w stanie wojennym. Częściowo znalazły schronienie za Atlantykiem, i tam osiągnęły sukcesy życiowe – ale w Polsce ich zabrakło i to się dzisiaj odbija.

FS: Wróćmy do Conrada. Co z twoim projektem muzeum w Berdyczowie, gdzie się urodził?

ZN: Wiesz, to pytanie równie aktualne jak bolesne. Jakiś czas temu ogłosiłem (w „Rzeczypospolitej") w imieniu Polskiego Towarzystwa Conradowskiego list otwarty, stwierdzający, że musimy zrezygnować z planów. Mimo wielokrotnie deklarowanego poparcia kół rządowych w Kijowie, naszego rządu, ambasad brytyjskiej i francuskiej, itd., władze miejscowe od pięciu lat skutecznie blokują naszą inicjatywę. Ciężko idzie na Ukrainie; dość wspomnieć muzeum Słowackiego w Krzemieńcu, którego otwarcie jest od lat odkładane – mimo finansowania przez rząd RP. Ciężko idzie. Z Litwą dokonaliśmy przełomu, są wspólne sesje sejmów (litewski nazywa się „sejmas") – a na Ukrainie trzeba się ciężko borykać. Ale próbujemy.

Od redakcji: Muzeum Józefa Konrada Korzeniowskiego w Berdyczowie, dzięki wielkiemu zaangażowaniu prof. Zdzisława Najdera oraz Polskiego Towarzystwa Conradowskiego udało się otworzyć w 2015 r. Oto wypowiedź prof. Najdera na ten temat dla Polskiego Radia:

FS: Czy *casus* Conrada może posłużyc emigrantom polskim rozsianym po świecie za pomocny drogowskaz?

ZN: No wiesz, geniusze, wielcy ludzie, rzadko mogą służyć za praktyczne drogowskazy. Choćby dlatego, że są z zasady wyjątkowi. Chyba, że działają w ramach zbiorowości; ale już taki Norwid mógł być „drogowskazem" tylko w sensie intelektualnym.

FŚ: A w sensie osobisto-duchowym?

ZN: W takim prywatnym sensie Conrad, który żył w cieniu pamięci o rodzicach, którzy wszystko poświęcili dla Polski, i zarazem aż do roku 1918 w cieniu przekonania, że sprawa polska jest na zawsze stracona – uczy nas, że choćby świat dokoła stawał się nieznośny, trzeba robić swoje, trwać przy zasadach, szukać sensu życia we własnej pracy. No ale takie nauki są dla

nas, dla ciebie Florianie i dla mnie, łatwiejsze niż dla innych – bo zawsze możemy znaleźć ucieczkę w naszych książkach.

_____

Zdzisław Najder. *Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada,* Uniwersytet Opolski 2000 r.

Księżycowy pejzaż Mono Lake



Mono Lake, fot. Jacek Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Po długiej drodze przez szarobrunatne, wulkaniczne ciągnące się setki mil pasmo łańcuchów górskich **Sierra Nevada**, z wyschniętą roślinnością wdzierającą się w kamienną przestrzeń otaczającą horyzont, zatraca się zachwyt nad potęgą natury, przerastającą człowieka swoim ogromem. Zmęczony skalistą monotonią krajobrazu wzrok, pragnie choć na chwilę zatrzymać się w jakiejkolwiek życiodajnej oazie. Gdy więc nagle zza gór wyłania się srebrzysta, o kapryśnych kształtach, księżycowa

sceneria **Mono Lake**, wydawać się to może nierealną fatamorganą.

Mark Twain, pisarz, dziennikarz, poszukiwacz złota i podróżnik, który dotarł do najbardziej dzikich zakątków Ameryki, nazwał to ukryte wśród pustynnej przestrzeni jezioro, **Morzem Martwym Kalifornii**. Rzeczywiście, zasolenie jeziora jest prawie tak duże, jak Morza Martwego z terenu Izraela i Jordanii. Jednak nie tylko zasolenie mogło nasunąć takie skojarzenie. Widok na **Mono Lake** przypomina zarówno scenerię z filmów *science fiction*, miasto przyszłości wyniszczone cywilizacją, jak i historię planety Ziemia z wyłaniającymi się z wody, zastygłymi w bezruchu, kamiennymi tworami. Jezioro wraz z **wyspą Paoha**, powstałą w wyniku wulkanicznej erupcji sprzed 335 lat, jest jednym z niewielu miejsc na świecie, tak aktywnych, by utworzyć wokół siebie ogromną przestrzeń tufowych labiryntów. **Tufa** powstałe na skutek reakcji chemicznej dużych ilości wapnia z dwutlenkiem węgla tworzą rozległe, różnorakie kompozycje, niespotykane formy o wielości kształtów, zmieniające swą kolorystykę w zależności od pory dnia i pory roku.

Przedzierając się przez biało-złoty skalny gąszcz, pokłóci kolczastą, pastelową bylicą rosnącą wzdłuż tufowych traktów i wypełniającą wapienny płaskowyż, gonimy unikatową chwilę, zachowaną potem na fotografii. Wrażenie jest ogromne. Wydawać by się mogło, że to co widać, to starożytne opuszczone

miasto, ruiny Babilonu, czy przysypanej wulkanicznym popiołem Pompei, kamienne, mitologiczne posągi, biblijne postacie z Sodomy i Gomory, złote maski ze skarbu Inków czy indiański totem. Gdzieś w tych kamiennych tworach zamknięty jest czas, czas natury i czas legend.

Zanim na amerykański kontynent przybyli Europejczycy nad jeziorem Mono żyło indiańskie plemię zwane **Kutsavi**. Życie tej małej społeczności ściśle związane było z biologicznym cyklem jeziora, współgrało z życiem ogromnej ilości zamieszkującej nabrzeże dzikiego ptactwa, poddawało się prawom natury. Głównym źródłem pożywienia tej grupki Indian, były bogate w białko i tłuszcz poczwarki muchy kutsavi. Wielkością przypominały ziarnka ryżu, łatwo można było je przechowywać i służyły do przygotowywania najrozmaitszych potraw. Plemię zamieszkiwało te tereny jeszcze w XIX wieku. W 1863 roku zawitał w te strony pewien znany geolog. Indianie poczęstowali go swoją potrawą. – Smakowało dobrze – napisał później w swoim dzienniku – Gdyby tylko zapomnieć o pochodzeniu, byłaby z tego świetna zupa.

Sierpniowa kalifornijska noc, to mnóstwo gwiazd i wielki księżyc, tym większy, że w podwójnym odbiciu na płaszczyźnie nie skażonego jeszcze cywilizacją jeziora. Gwiazdozbiory, przerastające ludzką wyobraźnię, od zawsze prowokowały powstawanie legend. Indianie znad Mono Lake, też snuli swoje

opowieści.

Trzej indiańscy myśliwi gonili niedźwiedzia. Niedźwiedź uciekając tak wzbił się w górę, że dosięgnął nieba. Myśliwi jednak nie zaprzestali pogoni. Strzelali do niego z indiańskich łuków. Ze zranionego niedźwiedzia kapała krew i stąd jesienią liście robią się czerwone. Kapał też tłuszcz, dlatego liście jesienią żółkną. Niedźwiedź zatrzymał się na niebie, a za nim ciągle widać trzech myśliwych.

Dzisiaj nikt już takich legend nie pamięta. Kultura indiańska stała się towarem, sprzedawanym na każdym rogu ulicy. Nie ma już plemion żyjących zgodnie z naturalnym cyklem przyrody. **Mono Lake** żyje jednak swoim życiem. Dzikie ptactwo budzi się co rano i zanosi swój śpiew pod wulkaniczne góry, skąpane w czerwieni wschodzącego słońca, a wieże tufowe, zastygłe, nieruchome, niezmienne, zamykają w sobie tajemnice naszej planety.

Twórczość Polskich Artystów Plastyków w Kanadzie.

Katarzyna Szrodt



Andrzej Pawłowski

Twórczość polskich artystów plastyków w Kanadzie to temat złożony, mający swoją ponad siedemdziesięcioletnią historię, gdyż pierwsi artyści plastycy pojawili się w Kanadzie w wyniku wojennej tragedii, po 1939 roku. Przed przedstawieniem tego tematu na międzynarodowej konferencji naukowej: „Polacy i Diaspora Polska w Ameryce Północnej", zorganizowanej przez Muzeum Emigracji w Gdyni, chcę podzielić się z czytelnikami Culture Avenue kilkoma ogólnymi informacjami dotyczącymi tego ważnego dla polskiej i kanadyjskiej historii sztuki rozdziału.

Trudno dziś sobie wyobrazić, jak wyglądałaby ewolucja diaspory polskiej w Kanadzie, gdyby nie została ona zasilona przez trzy kolejne fale inteligencji i artystów, przybyłe w wyniku wojny i jej politycznych następstw. To dzięki przedstawicielom polskiej elity przedwojennej: dyplomatom, naukowcom, inżynierom, artystom plastykom, pisarzom i dziennikarzom, powstały polskie instytucje naukowe i kulturalne, i nawiązała się współpraca między kanadyjskimi instytucjami nauki i kultury. Kanada nigdy nie była kolebką sztuki i zawsze byt artysty połączony był z dużym wysiłkiem i wyrzeczeniem. Jeśli los imigranta jest długą, trudną drogą w nowym społeczeństwie, w odmiennym języku i kulturze, to los imigranta – artysty jest jeszcze trudniejszy, jeśli zamierza

on kontynuować twórczość poza własnym krajem. Sztuka wymaga odbiorcy, twórca potrzebuje środowiska, wymiany myśli, by rozwijać się i tworzyć. Społeczeństwo kanadyjskie, jak i diaspora polska, nie byli i nie są wdzięcznymi odbiorcami, ani nabywcami dzieł sztuki. Artyści fali wojennej, obejmującej lata 1939-1955, przecierali ślady w Kanadzie i to dzięki ich wysiłkom polska sztuka została zauważona. Z tej grupy znane są nazwiska około stu plastyków (malarzy, rzeźbiarzy, ceramików, tkaczy), legitymujących się dyplomami polskich i europejskich uczelni artystycznych, z których do najaktywniejszych trzeba zaliczyć: **Marię i Romana Schneiderów**, **Krystynę Sadowską**, **Eugeniusza Chruścickiego**, **Rafała Malczewskiego**, **Genowefę Staroń**, **Henryka Hoenigana**, **Bronkę Michałowską**, **Edwarda Koniuszego**, **Stefana Kątskiego**, **Zofię i Annę Romer**.

Nigdy nie będzie polskim artystom tak łatwo i trudno zarazem – przecierali ścieżki do muzeów, galerii kanadyjskich, dekorowali wystawy sklepowe, brali udział w targach sztuki i rzemiosł, organizowali wystawy w salach parafialnych i na bazarach polskich uważając, że każda okazja jest dobra, by pozyskać polskiego i kanadyjskiego odbiorcę.



Bożena Happach, Gymnaste.

Drugą falę emigracji artystycznej do Kanady, zwaną falą PRL-owską, z emigracją 1968 roku, tworzy niewielka grupa około pięćdziesięciu twórców, z których wybili się i utrzymywali ze sztuki: **Tamara Jaworska**, **Liliana Lampert**, **Joanna Staniszkis**, **William Markiewicz**, **Kazimierz Głaz**, **Jerzy Kołacz**, **Andrzej Pawłowski**, **Zbigniew Kupczyński**, **Waldemar Smolarek**, **Witold Kuryłłowicz** i **Alfred Hałasa**.

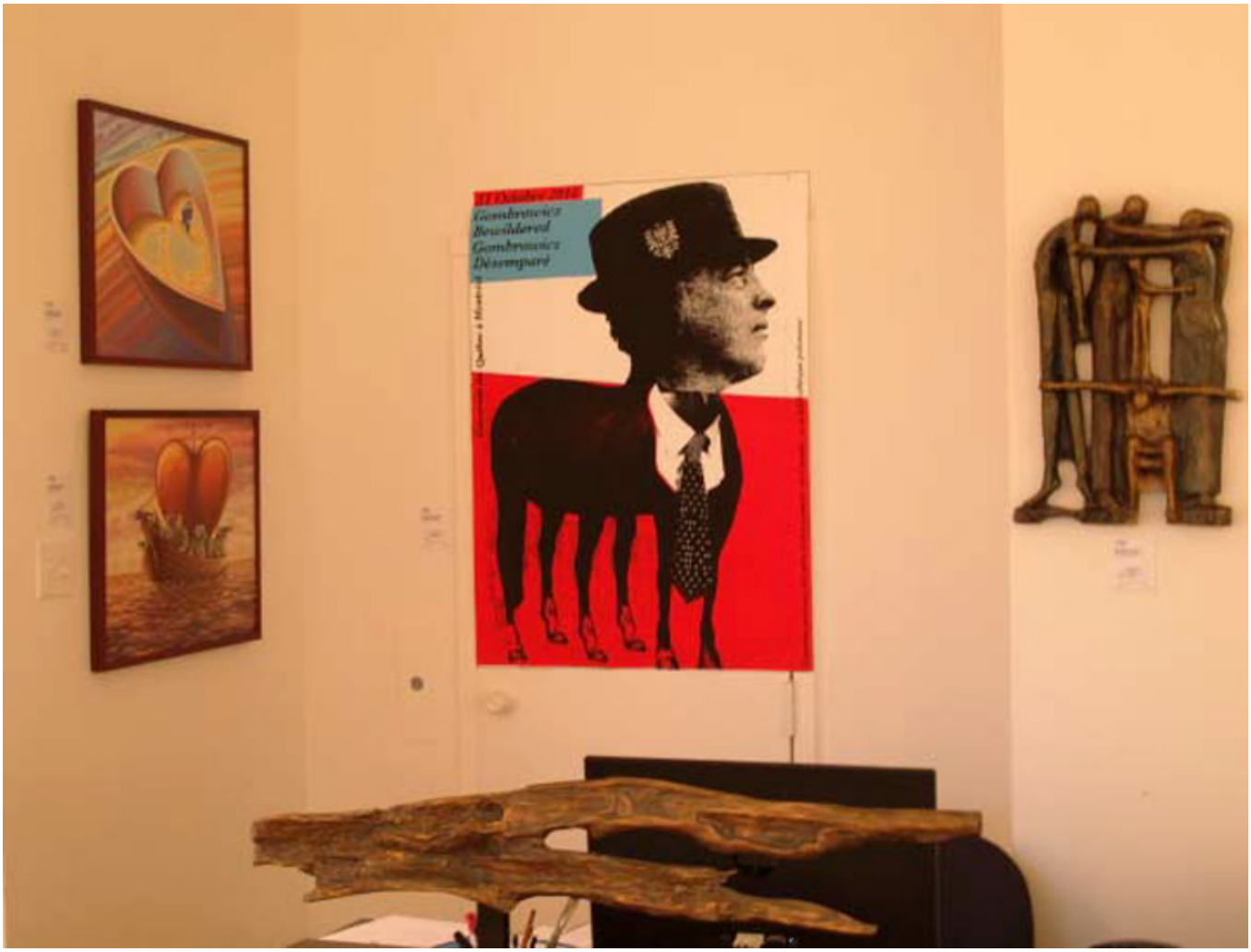


Adam Kołodziej

Lata 60. i 70. w Kanadzie to czas intensywnego rozwoju, rozrasta się Toronto, przyciągając teraz więcej artystów niż Montreal. Rośnie zapotrzebowanie na sztukę w budujących się drapaczach chmur, instytucjach publicznych, przestrzeni miejskiej. Dzięki prospericie ekonomicznej polscy artyści mają pracę, czego ślady, w postaci rzeźb, gobelinów, murali, można odnaleźć do dziś w Toronto, Vancouver, Ottawie i Edmonton.

Dużym wstrząsem wyzwalającym zmiany w polskiej diasporze było pojawienie się w Kanadzie trzeciej fali emigracji, zwanej falą

solidarnościową. Była to poważna zmiana oblicza Polonii kanadyjskiej: odmłodzenie jej, ożywienie, przefiltrowanie nowymi prądami politycznymi, społecznymi i kulturalnymi. W liczbie 130 tysięcy emigrantów znalazło się około stu artystów, z których większość osiadła w Toronto, Vancouver, Edmonton, Calgary. Liczba ta pozostaje ruchoma, gdyż wielu plastyków powróciło do demokratycznego kraju, inni znaleźli lepsze warunki w Stanach Zjednoczonych, a część krąży między starym kontynentem a Kanadą. Z dużej grupy aktywnych na kanadyjskim rynku polskich plastyków, imigrantów lat 80. Wybili się m.in.: **Ludmiła Armata**, **Regina Czapiewska**, **Jerzy Denisiuk**, **Tadusz Biernot**, **Leszek Wyczółkowski**, **Bożena Happach**, **Irena i Adam Kołodziejowie**, **Wojtek Nowakowski**, **Zbigniew Pospieszyński**, **Wiktor Zajkowski-Gad**, **Janusz Migacz**, **Jan Delikat**, **Piotr Królikowski**.



Alfred Hałasa

Działalność polskich artystów plastyków na emigracji w Kanadzie jest otwartym i ciągle toczącym się procesem twórczym. Artyści dzielnie walczą o swoje miejsce w kanadyjskiej sztuce, starając się łączyć swoją polską tożsamość z wielokulturowym melanżem, jakim jest Kanada. Jednak dla wielu możliwość pokazania swojego dorobku w ojczyźnie i konfrontacja ze sztuką w kraju – stanowią marzenie-cel-wyzwanie.

Na Peloponezie



Florian Śmieja

NA PELOPONEZIE

W szczęśliwszych dla wojaży czasach

żyłeś Juliuszu

Mogłeś oglądać grób Agamemnona

i wydumać poemat o połowie walecznych.

Ja wiem, że grobu nie ma

żadnego poematu o narodzie

nikt nie napisze, o tych

co zyskawszy swobodę rozgrabili mienie

przestali rodzić mężów o uczciwych sercach

i rękach czystych. Jakaś zaraza

stoczyła do cna ich dusze

skorumpowała plemię tak gruntownie

że wstyd się dzisaj przyznać do Polaków

tyle wśród nas niegodziwości i występku.

MYKENE

Z tego miejsca strapiona Klitajmestra

obserwowała feralne okręty

powracającego Agamemnona

inicjujac mityczną hekatombę

Z jej warowni pozostały kamienie

Przetrwała saga o okrutnym losie

Bo zła fortuna mocniejsze ma zręby

niż ludzką ręką stawiane opoki.

HEGEMONIA

Peloponeska, jak wszystkie wojny,

także była o hegemonię.

Ludzi pokornych nie unosi pycha

oręża nie potrzebują zgodni.

To hardy głosząc samowolę

tryumfuje do czasu

zostawia labirynty, kazamaty

baszty w ruinie, kruszące się mury.

Czas ułagodził dzieje

niepewnej historii

pomieszał nieprzyjaciół.

Przetrwały krwawiące maki

i żółte kielichy, jaszczurki

zwinne na kamieniach.

Morza nadal chłodzą

rozpaloną ziemię

w pysznej iluminacji dnia.

KLĘSKA POD TERMOPILAMI

Kiedy zajechaliśmy do Termopil

słońce było już nisko a zostało

jeszcze sporo drogi do hotelu.

Więc sine pasma gór wyspy Eubei

pamięć o trzystu hoplitach

sprzed dwu mileniów

zmęczonym turystom

darował wyrozumiały przewodnik.

SALOMON

Bardzo mądry był Salomon

miał sto żon

a wszystkie śliczne

wabne lecz wyrozumiałe

przeświadczone zapewne

że egzotyczna Saba

nie zawladnie sercem

ich pana na długo.

> Dawno rozwiązały dylemat
>
> czy lepiej być jedyną
>
> nałożnicą osiłka
>
> czy kochać się w zorzy?

POWRÓT Z GRECJI

> Kiedy samolot o świcie oderwał się od ziemi
>
> i w tyle pozostawił budzące się Ateny
>
> przestało mnie obchodzić tyle, zdawało się, ważnych spraw.
>
> Sąsiad Grek z bezczelnością, jak się miało okazać,
>
> pewnego siebie biznesmena
>
> w lot poinformował mnie, co myśli o Turkach
>
> prymitywnych wojownikach, co nic nie stworzyli

> i o sukcesach swoich bogatych ziomków
>
> równie chytrych jak on ludziach interesu.
>
> A ja sądziłem, że w powietrzu
>
> człowiek ma tylko jedno zmartwienie:
>
> by wylądować bez szwanku.

Meandry miłości. Problematyka

powieści Zofii Romanowiczowej „Sono felice”.

Włodzimierz Wójcik

Florianowi Śmieji – profesorowi iberystyki

i poecie – z wyrazami
przyjaźni…



Zofia i Kazimierz Romanowiczowie w swoim ówczesnym paryskim mieszkaniu, przy rue Debelleyme, wrzesień, 1998 r, fot. Kubik.

I

Powieść *Sono felice* została ogłoszona drukiem w roku 1977. Wcześniej ukazały się następujące utwory prozatorskie Romanowiczowej: *Baśka i Barbara* (1956), *Przejście przez Morze Czerwone* (1960), *Słońce dziesięciu linii* (1963), *Szklana kula* (1964), *Próby i zamiary* (1965), *Łagodne oko błękitu* (1968),

Groby Napoleona (1972). Później w Bibliotece „Kultury" wydała *Skrytki* (1970) oraz *Na wyspie* (1984). Do tego dochodziły artykuły oraz przekłady poezji prowansalskiej. Wreszcie pisarka wydała drukiem kolejną – chyba już ostatnią – powieść *Ruchome schody* (1995).

Tak więc przywołana powieść jest dziełem pisarki o wieloletnim doświadczeniu twórczym. Jej dotychczasowe utwory powstawały i ukazywały się w druku w określonym rytmie, ale rytmie niespiesznym, co świadczy o jej doskonale uformowanym warsztacie.

Akcja powieści toczy się kilkanaście lat po zakończeniu drugiej wojny światowej w Paryżu i w jego najbliższych okolicach. Rzecz przebiega, podobnie jak w klasycznym dramacie, w czasie krótszym, niż jedna doba. Od południa jednego dnia do piątej rano dnia następnego. Treść jest dość banalna i schematyczna. Kobieta wychodzi niespodziewanie z domu nie powiadamiając będącego w pracy męża. Wywołana przez telefon spędza kilka godzin ze starym przyjacielem, który – po latach niewidzenia – z Rzymu „wpadł" do stolicy Francji, aby zadać jej jakieś ważne, osobiste pytanie. Nad ranem – po kolacji w okolicach Notre Dame i drinkach z tańcami w jakiejś piwniczce – gość odlatuje do Włoch, kobieta wraca do domu. Zazdrosny mąż – jak się można domyślić – zabija ją kulą z Waltera.

Nic szczególnego, a jednak.

To, co najważniejsze mieści się w warstwie fabuły. W czasie przygotowań bohaterki Teresy do spotkania, i w czasie spotkania, w warstwie retrospektywnej dokonuje się poniekąd rekonstrukcja swoistej taśmy filmowej, porozrywanej, ale i sklejanej na nowo wedle chronologicznego porządku. Jak tedy wygląda ten ciąg fabularny?



Zofia Romanowiczowa, fot. archiwalna.

Oto kilka zdań na ten temat. Kilkunastoletnia Polka wychodzi z niemieckiego łagru w Bawarii. Przez pewien czas – podobnie jak wielu innych *dipisów* – pozostaje w okolicy w jakiejś willi zaanektowanej Hrabiny. Jest to faza pytań. Co dalej? Dokąd się udać po światowym kataklizmie, po nazizmie, po „czasach pogardy"? Na alpejskiej łące, na której wypoczywa, poznaje nieznajomego człowieka o nieustalonej narodowości. Dopiero później – po pewnych przekomarzaniach – dowiaduje się, że jest Polakiem, byłym jeńcem. Dziewczyna przypadkowo uzyskuje wiadomość, że we Włoszech, w polskich środowiskach wojskowych ma szansę zrobić maturę. Wiedziona głodem wiedzy po koszmarze łagru, udaje się na Południe. W środowiskach polonijnych poznaje Szymona, polskiego korespondenta wojennego. Ten, człowiek w sile wieku, niegdyś edukowany w Paryżu, zabiera ją na „reporterskie wypady" do okupowanych przez aliantów Niemiec widząc u niej pewne zadatki na pisarkę. Kupuje jej nawet w prezencie maszynę do pisania. Między nimi następuje bardzo delikatna zażyłość, którą można nazwać subtelną grą uczuć. Szymon kieruje dziewczynę do zakonnej szkoły średniej. Po zdaniu przez nią matury skłania ją do podjęcia studiów na Sorbonie, w Paryżu opromienionym legendą Ronsarda i Kochanowskiego. Ułatwia jej ten krok na miarę swoich możliwości. Z uczuciem pewnego odsunięcia się od niej Szymona, na nowym miejscu życia, dziewczyna poznaje topografię wymarzonego miasta jednocześnie studiując i dorywczo pracując. Poznaje mężczyzn (Miklosz), po pewnym

czasie wychodzi za mąż za Karola, który ją w stolicy Francji odnalazł.

Ciąg fabularny powieści podszyty jest grozą okrutnej HISTORII, znaczonej nazizmem, działaniami zbrojnymi, eksterminacja różnych narodowości. Jednak w głównym planie ta okrutna historia występuje jedynie w kształcie aluzji; jest swoistym – żeby użyć terminu Zofii Nałkowskiej – „widzeniem dalekim". Romanowiczową interesuje jednak głównie „widzenie bliskie". Pisarka skupia uwagę na poszczególnych osobowościach, obserwuje struktury osobowe tych, których poraził nazizm, totalitaryzm, których naznaczyły „czasy pogardy".

II

Sono felice to powieść nie o wielkiej historii, ale o relacjach – w wielu przypadkach intymnych – w tym przypadku pomiędzy Teresą a jej partnerami: Szymonem, Karolem i Mikloszem. Ideą przewodnią utworu jest poszukiwanie szczęścia przez dziewczynę złaknioną ciepła, delikatności, intymnego bezpieczeństwa. Ta sprawa misternie inkrustuje tok narracji w postaci pojawiającego się zwrotu: *sono felice*, czyli „jestem szczęśliwa", zwrotu, który w końcu powieści odgrywa kluczową rolę.

Związki między Teresą a Szymonem cechuje delikatna opiekuńczość, niemal rodzicielska, ale opiekuńczość nie pozbawiona „podszewki” erotycznej. Sygnalizuje to dbałość o zapewnienie wygłodzonej więźniarce dostatniego, niekiedy luksusowego życia, a nade wszystko bezustanne zabiegi zmierzającego do jej intelektualnego, duchowego rozwoju. Szymon, mistrz narracji reportażowej, doświadczony dokumentalista, mówi:

> Nie wiem jak tam z twoim pisaniem. Nazwiska sobie chyba nie wyrobiłaś, doszłyby mnie słuchy. Ale masz czas. […] Kiedyś przynaglałem cię, prawda, ale to było po to, by cię ustawić do startu, byś uwierzyła, że jeśli zechcesz, potrafisz. Jesteś wciąż młoda, wciąż masz czas, nic się nie pali. Tylko na bycie szczęśliwym nie ma chwili do stracenia. Jeszcze moment i może być za późno. [SF 102][1]
>
> […] patrz – przypatruj się, bierz, owszem, udział, wypróbowuj nawet na sobie, ale powiedz sobie raz na zawsze: cokolwiek się dzieje, ty obserwujesz do krajobrazów. (…) Trzymaj się wyłącznie Pegaza, gdyż upadki z Pegaza są bardziej od innych bolesne. Ale ty potrafisz utrzymać się w siodle. Ty możesz. Ja ci to przepowiadam, ja to w tobie czuję. (…) Ja jestem świadek. Nie muszę aż trawić, muszę tak patrzeć by widzieć. A co zobaczę, zaraz opowiedzieć dla

> tych, którzy nie widzą, chwycić to dla nich na gorąco, w trakcie, z najmniejszą możliwie przeróbką. (…) Ja świadczę, rejestruję, nagrywam. Może tacy jak ja są po to, by takim jak ty zbierać budulec? [SF 104]

III

Najbardziej skomplikowana, pogmatwana, meandryczna okazuje się relacja pomiędzy Teresą a Karolem. Historia ta została oparta na swoistej… nie „komedii”, ale właśnie „tragedii pomyłek”. Skończyła się też – niestety – prawdziwą tragedią. Poznała go podczas odpoczynku na alpejskiej łące w szczególnym stanie ducha. Po udrękach obozu, w którym bezustannie podczas rutynowych apeli, była wystawiana – niczym na targu niewolników – na widok publiczny, była niejako „na oku” strażników, szukała bezpieczeństwa samotności, intymności, które miały jej ułatwić określenie własnej tożsamości. Nic dziwnego, że po wyzwoleniu nie mogła już znieść innych zniewoleń:

> Każdy z mijanych mężczyzn zahaczał o nią spojrzeniem. Właśnie, zahaczał. To były spojrzenia-harpuny, była rybą do złowienia. Potykała się w pantofelkach Hrabiny, stropiona, tropiona oczami głodomorów. [SF 84]

W tej konkretnej sytuacji dziewczyna znajduje pewien świat wolności i bezpieczeństwa pośród świata książek przypadkowo zgromadzonych w jednym z baraków:

> Dopadła biblioteki, barakowego azylu. Sam zapach papieru i kurzu, cisza, ostrożne stąpanie, przywracały poczucie bezpieczeństwa. Za oknami mogły zbierać się jakie chciały burze, tu była świątynia słowa. Drukowanego. [SF 84]

Uwolnionych przez aliantów *dipisów* „polowania na Fraulein, które ją i jej towarzyszki przejmowało tak patriotyczną zgrozą” [SF 84] zaważyły na relacjach pomiędzy Teresą a Karolem, który – jak się później okaże – w stalagu czy oflagu, po prostu

> (…) bez pasa, bez broni, bezwolnie przeleżał pięć lat na pryczy, przegrał w brydża, przespacerował po dziedzińcu, patrząc na niedostępne góry, tak bliskie, na o każdej porze roku inaczej zabarwione łąki. Jego narzeczona zdążyła tymczasem wyjść za mąż. Nawet się chyba nie zdążyli pocałować. [SF 84]

Romanowiczowa pokazuje swoistą ironię złośliwego losu. Oto jeszcze anonimowy Karol zagaduje Teresę po niemiecku –

Fraulain – i niejako z miejsca kwalifikuje się do tej prostackiej grupy polujących na kobiety pokonanego narodu. Teresa, wiedziona rodzajem przekory, odpowiada po niemiecku. Kiedy okazuje się, że jest Polakiem, gotowym do kontaktu z Niemką, stawia przy nim znak zapytania. Kolejne spotkania niby coś zmieniają w ich stosunkach, doprowadzają do związku małżeńskiego, ale uraz pozostaje.

Związek małżeński Teresy z Karolem jest znaczony bezustannym niedosytem. Pojawiają się w nim wciąż zahamowania. Kobieta bezustannie przeciwstawia oszczędnego Karola, z Szymonem, człowiekiem o szerokim geście. Uładzony Karol okazuje się nieco mdły na tle rozbuchanego seksem Miklosza. Wartościowy Karol bezustannie ją irytuje:

> Nie na wiele zdał jej się niemiecki, nawet zaszkodził, choćby wtedy na łące, z Karolem. No a z Karolem po polsku czy po niemiecku, czy się porozumieli? Czy się kiedykolwiek dogadali? Nawet porozumienie ciał było między nimi potencjalne, pewność i niepewność, ogarek nadziei. Parę iskier. [SF 128]



Zofia i Kazimierz Romanowicz przed wejściem do Hotelu Lambert w 1962 r., fot. Archiwum Emigracji, Biblioteka Uniwersytecka, Toruń.

IV

Natomiast związki Teresy z Mikloszem mają już inny charakter. Ten południowy Słowianin, charakter zdobywczy, tryskający energią, bezustannie zmieniający bezwolne partnerki, tryskający seksualizmem i erotyzmem, prowadzi z byłą więźniarką z Polski swoistą grę:

Mikloszowi poszło z Teresą nie tak prędko i nie tak łatwo. A raczej nie tak po prostu. Może dlatego chwycił ją w mocniejsze szpony i – nie będąc nigdy jej pewny, dłużej na niej wypróbowywał swej władzy. Dłużej łudziła jego złośliwe pragnienie.

Zła kolejność, kolejność pechowa. Gdyby z Karolem nie byli z góry zahamowani, z odmiennych a właściwie analogicznych powodów, gdyby nie było tej pierwszej, nie chcącej zagoić się kompromitacji na bawarskiej łące! (…) Obyłoby się bez Miklosza, doskonale mogłoby się obyć.

Miklosz był wszystkim, czym Karol nie mógł być, także i z jej winy. [SF 82]

A Miklosz? O, ten jak Szymon nie musiał machać ręką i żołądkować się, że kelner go ignoruje. Nie dłubał za drobnymi w portmonetce, nie oglądał menu wywieszonego na ulicy, kalkulując czy obok nie będzie taniej. Nie pracował, nie zarabiał, miał i wydawał bez liczenia.

Jednak z Mikloszem nie w głowie im było jedzenie, coś przełknęli, czymś popili, byle jaknajszybciej wyjść i najdłużej być razem.

Miklosz nie starał się, tak jak Karol, kamuflować swego cudzoziemskiego akcentu. Nie był żadnym emigrantem, naturalizowanym czy nie. On był Cudzoziemcem właśnie, był Obcym, zawsze i wszędzie cudownie obcym, innym, skądinąd. Nie nosił wstążeczek orderowych, po co? Choć musiał ich pewno mieć całą kolekcję. Wojenną przeszłość miał wypisaną na twarzy, w sposobie bycia. Nie rozwodził się też ględząc nad swymi wyczynami, nie rozbudowywał legend o byłych bojach, nie weryfikował się, żebrząc o zaświadczenia. Coś mu się tam czasem przypominało, mimochodem i to mimochodem było takie, że zapierało dech..

A może kłamał, mimochodem? Może ta szrama na policzku także kłamała, stanowiła jedno z akcesoriów, jedną z masek? Czasami Teresa czuła że ociera się o coś zwodniczego, coś teatralnie próżnego, nie zdanie lecz tyrada w odgrywanej po raz setny roli bohatera i kochanka. Długo nie chciała wierzyć samej sobie, przeciwnie, zaciskała powieki by sobie i jemu ułatwić oszukiwanie.

Bo przecież tak na dobrą sprawę Zwodziciel został przez nią zwiedziony, ona jego też w końcu oszukała, nie tylko samą siebie. Cały czas oszukiwała go, bo gdy myślał, że już zdobyta, już zaliczona, ona wciąż należała do Karola, a gdy zdobytą już, więc unieważnioną, odrzucał, ona właśnie i tak

miała odejść. To znaczy wrócić. Do Karola.

Właśnie, chyba tak. Z jej strony oszukiwane, bo pomyłka. Ze strony Miklosza oszukiwanie, tak, ale też i pomyłka, mała pomyłka, która… Gdyby wiedział!

To było zresztą tak dawno, ile lat? Miklosz, być może, zmienił się, postarzał, z siły wieku tak łatwo przejść w starość. Miklosz postarzały? Podtyty, jak jego sobowtór w kawiarni? To by ją dopiero na dobre wyleczyło. [SF 88-89]



Zofia Romanowiczowa zrobiona przez córkę Barbarę w Jours w 1987 r.

V

Powieść Romanowiczowej posiada znamiona sztuki teatralnej. Od początku akcji czuje się, że nad światem przedstawionym w utworze wisi tragedia. Sygnalizuje to bezustannie pojawiający się

motyw Waltera, pistoletu, w który zaopatrzył się Karol pragnący w jakiś sposób zrekompensować wcale nie bohaterski, nawet nudny, nieciekawy sposób życia w jenieckim obozie. Romanowiczowa prowadzi narrację tkając poszczególne wątki i motywy niczym misterną materię tak, że wzajemnie się określają, uwydatniają, wyjaśniają. Bezustanny okrzyk: „Sono felice" oznacza łaknienie szczęścia i jego szukanie; marzenie o biblijnym raju, zaludnionym przez Adama i Ewę. Ci szczęśliwi prarodzice człowieka współczesnego wypełniają powieść niemal po same brzegi. Ważną konstrukcyjnie rolę pełni motto utworu w postaci elegii Jana Kochanowskiego (III, 8) w przekładzie Juliana Ejsmonda *Do Karola*, elegii, której szczególny fragment przewija się przez tok narracji, a mówi o śmierci Henryka, który „zginął śmiercią tak okrutną":

> Teraz, w czasie pokoiu y zabaw rycerskich
>
> Krwią ciekący porwanyś za wody Styxowe,
>
> Tam, gdzie światłość przechodzi przez szparę w przyłbicy
>
> Straszna kopia przeszyła ci na wylot głowę.

Śmiercią okrutną – ironia losu – ginie Teresa. Wróciła do domu z ostatecznym przekonaniem, że jedynie Karol jest jej najbliższym

człowiekiem. Mówiąc, że jest szczęśliwa właśnie z nim, niebacznie – przez pomyłkę – przywołuje imię Miklosza. Znękany latami zazdrości Karol zabija Teresę. Kula z Waltera przechodzi przez czoło, właśnie „przez szparę w przyłbicy".

Okazuje się, że powieści Romanowiczowej zwykle bywają utworami o relacjach pomiędzy jednostkami ludzkimi. Łączy je ze sobą niemal ta sama narratorka-bohaterka, która przeszła piekło więzień hitlerowskich i obozów koncentracyjnych „czasów pogardy". Zazwyczaj to, co najgorsze jest już za nią; poszukuje zwykle możliwości wejścia w życie „normalne". Jednak dramatyczna przeszłość w każdym przypadku wlecze się za nią to nękając ją, raniąc, to znów prowadząc do najbardziej skrajnego finału, do śmierci. Jeśli przedmiotem refleksji w niniejszym artykule jest powieść *Sono felice*, to głównie dlatego, iż wydaje się pokazywać najbardziej skomplikowaną wersję ludzkiego losu w dwudziestowiecznej rzeczywistości europejskiej…

---

[1] Wszystkie cytaty oznaczone skrótem SF pochodzą z wydania: Z. Romanowiczowa: *Sono felice*. Londyn 1977. Cyfry arabskie po skrócie oznaczają stronę.

Zofia Romanowiczowa, urodzona w 1922 r. w Radomiu, zmarła

w 2010 r. w Lailly-en-Val we Francji, polska pisarka i tłumaczka emigracyjna.

***Włodzimierz Wójcik**, prof. Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, były dziekan Wydziału Filologicznego, zmarł w 2012 roku.*

Drugie życie Beatelsów.

> Zazdroszczę teraz takim Bootelsom, że mogą bawić się naszymi ulubionymi utworami, kreując je na nowo po swojemu, choć w duchu oryginałów… zawsze będę kibicował takim zapaleńcom jak czwórka z polskiego Liverpoolu – Łodzi.

Piotr Metz – krytyk muzyczny

Rozmowa z gitarzystą Piotrem Jełowickim, założycielem zespołu The Bootels.



Piotr Jełowicki podczas koncertu.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: The Bootels to zespół, który gra repertuar legendarnego zespołu The Beatles. Jednak na Waszych koncertach słychać, że muzyka Beatlesów

dostała nową energię. Na czym polega różnica w wykonaniu znanych od kilku dekad utworów?

Piotr Jełowicki: Utwory przez nas wykonywane są zagrane dużo bardziej energetycznie, ostrzej i z przesterami. Traktujemy Beatlesów tak jak wielkich klasyków: Bacha, Mozarta, Beethovena. Grając Beatlesów czujemy się jak filharmonicy wiedeńscy wykonujący dzieła wielkich mistrzów. Chodziło o to, żeby stworzyć pomost między muzyką lat 60., czyli epoką w której tworzyli Beatlesi, a czasami współczesnymi, dlatego zagranie tych utworów w nowych aranżacjach z większą energią powoduje, że są one odbierane dużo lepiej przez młodszych słuchaczy. W niektórych naszych utworach zostały wstawione cytaty wielkich klasyków muzyki rockowej czy hard rockowej takich jak Led Zeppelin, Deep Purple czy Black Sabbath. Chcieliśmy pokazać jak muzyka Beatlesów wpłynęła na późniejszych wykonawców, którzy również stali się legendami jak The Beatles. Tym samym pokazaliśmy, że Beatlesi swoją twórczością wyznaczyli wiele gatunków w muzyce rozrywkowej na całym świecie.

W lipcu tego roku graliście jako *support* przed zespołem Orchestra (Electric Light Orchestra) podczas 11 Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty koło Słupska. Co zadecydowało, że wygraliście *casting*?

Myślę, że po prostu byliśmy najlepsi (śmiech). No i może to, że traktujemy Beatelsów trochę inaczej, niż tysiące innych zespołów. Festiwal Legend Rocka był dla nas dużym wydarzeniem. Z koncertu jest zarejestrowany materiał audio na wielośladzie i prawdopodobnie w niedługim czasie powstanie płyta **The Bootels z Doliny Charlotty Live**. Ciekawostką jest to, że wykonaliśmy pełen program, który trwał 1,5 godziny i co się bardzo rzadko zdarza w przypadku zespołów *supportujących* gwiazdy, zagraliśmy bis.

Jakie macie wrażenia po występie w Dolinie Charlotty?

Zacznę od minusów: to niestety fatalna pogoda, lało od godziny 15-tej do północy, więc koncert The Bootels jak i gwiazdy wieczoru odbywał się w strugach deszczu. Nie miało to jednak wpływu na frekwencję publiczności, której było około 8 tysięcy.

Natomiast z pozytywnych rzeczy to super organizacja, super nagłośnienie i ekstra obsługa. Obawialiśmy się, że publiczność może nas nie zaakceptować, ponieważ nie jesteśmy autorami naszego repertuaru. natomiast już po kilku utworach publiczność rozkręciła się, co zaowocowało, jak już wcześniej wspominałem, bisem na sam koniec występu. Fajnie jest grać w takich miejscach na bardzo dużych scenach, gdzie dźwięk jest potężny i wszystko jest na najwyższym poziomie. Całą imprezę nagłaśniała firma, która jest jedną z najlepszych firm w Polsce i robi bardzo

duże imprezy i festiwale.

Może mieliśmy lekki stres ze względu na fakt rejestracji materiału, ale nie przeszkadzało nam to wykonać pełnego *show*, który zazwyczaj wykonujemy nie martwiąc się o takie rzeczy.

Kolejną ciekawostką było spotkanie gitarzysty ELO Parthenona Huxleya, który po naszej próbie powiedział, że bardzo mu się podobają nasze aranżacje i mocno trzyma za nas kciuki. Następnie zdradził nam, że sam gra w zespole, który wykonuje utwory Beatlesów, tak jak my i również jeździ na festiwale i gra w klubach repertuar Beatelsów.



Zespół The Bootels na 11 Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty.



Mimo deszczu podczas Festiwalu w Dolinie Charlotty na brak publiczności nie narzekano.

Jak doszło do powstania zespołu?

Do powstania zespołu The Bootels doszło 2004 roku. Zebrała się

grupa ludzi, która chciała po prostu ze sobą pograć. Mieliśmy w planie wykonywać utwory różnych muzyków, ale problemem był wokalista, którego nie mogliśmy znaleźć. W końcu, podczas jednej imprezy domowej u Andrzeja Żukiewicza, na której był również Zbyszek Frankowski, zaśpiewali wspólnie „Ticket to Ride" i tym sposobem okazało się, że mamy w zespole dwóch wspaniałych wokalistów, których głosy bardzo dobrze współbrzmią. To nas skłoniło do tego żeby pójść bardziej w stronę repertuaru Beatlesów i wyspecjalizować w tym temacie.

Nazwa Waszego zespołu brzmieniem przypomina The Beatles. Czy to celowa zbieżność?

W czasie kiedy powstawał nasz zespół prowadziłem jeszcze własne studio nagrań, w którym nasz zespół odbywał próby. W tym czasie odbywały się też nagrania innych zespołów. Któregoś dnia realizator umawiając termin nagrań z jakimś zespołem powiedział, że w tym czasie nie może być nagrań, ponieważ "butelsi" mają próbę. Gdy zdziwiony zapytałem go o jaki zespół chodzi, odpowiedział mi, że o nasz. Podczas prób zdarzało nam się wypijać "trochę" alkoholu i pozostawały po nas puste butelki. Stąd taka nazwa, która została później dopasowana pod względem pisowni i liternictwa, które ewidentnie wskazywało na podobieństwo do zespołu The Beatles.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.

Jesteście posiadaczami certyfikatu wydanego przez właścicieli klubu The Cavern, potwierdzającego wysoki poziom wykonywania muzyki Beatlesów na świecie. Czy trudno jest zdobyć taki certyfikat?

Nie słyszałem, żeby ktokolwiek posiadał taki certyfikat, a już na pewno nie w Polsce. Nam się to rzeczywiście zdarzyło, że właściciele The Cavern uhonorowali nas takim pismem, które otwiera nam wiele drzwi i pozwala zagrać w różnych, bardzo ciekawych miejscach.

Jak dostaliście się do studia nagrań w Londynie, w którym

nagrywali Beatlesi?

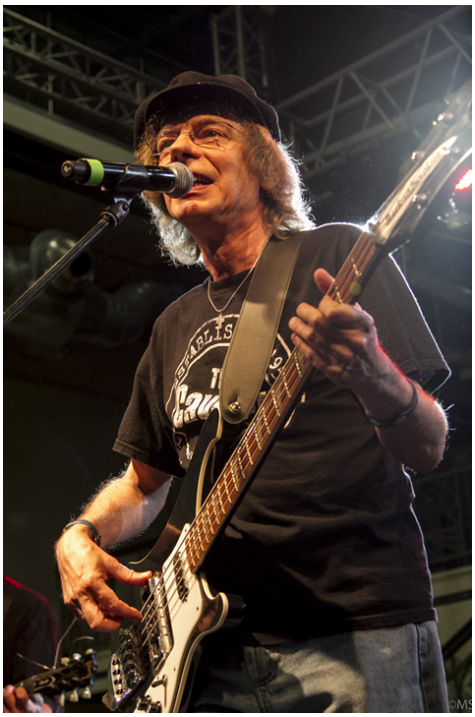
Do studia Abbey Road dostaliśmy się drogą mailową. Niestety musieliśmy czekać 4 miesiące ponieważ człowiek, który robił nam *mastering* Sean Magee jest bardzo rozchwytywanym, zdolnym realizatorem i ma bardzo długie terminy. Również nie z każdym chce pracować. Nam się udało.

Mastering został zrobiony na urządzeniach na których pracowali Beatlesi. To duża dla nas satysfakcja i myślę, że ci którzy posłuchali płyty, a szczególnie analogowej, bo taka wersja również została, wydana, mogą naprawdę odczuć ducha tego studia i atmosferę jaka tam mogła panować w tamtych czasach.

Czy poznaliście Paula McCartneya lub Yoko Ono?

Niestety nie mieliśmy na razie okazji poznać żadnego z żyjących członków grupy The Beatles, natomiast na naszej drugiej płycie **The Bootels Revolution** jest fragment wywiadu z Paulem McCartneyem, który ładnie po polsku mówi „cześć”.







Gdzie głównie występujecie?

Zagraliśmy około 20 koncertów w Liverpoolu. Graliśmy też we Francji i w Niemczech. W Polsce gramy głównie imprezy zamknięte dla firm, ale także plenery oraz kluby.

Kto przychodzi na wasze koncerty?

Na nasze koncerty przychodzi bardzo zróżnicowana publiczność od młodzieży, czasami dzieci, aż po naprawdę wiekowe osoby, więc przekrój wieku słuchaczy mamy bardzo duży.

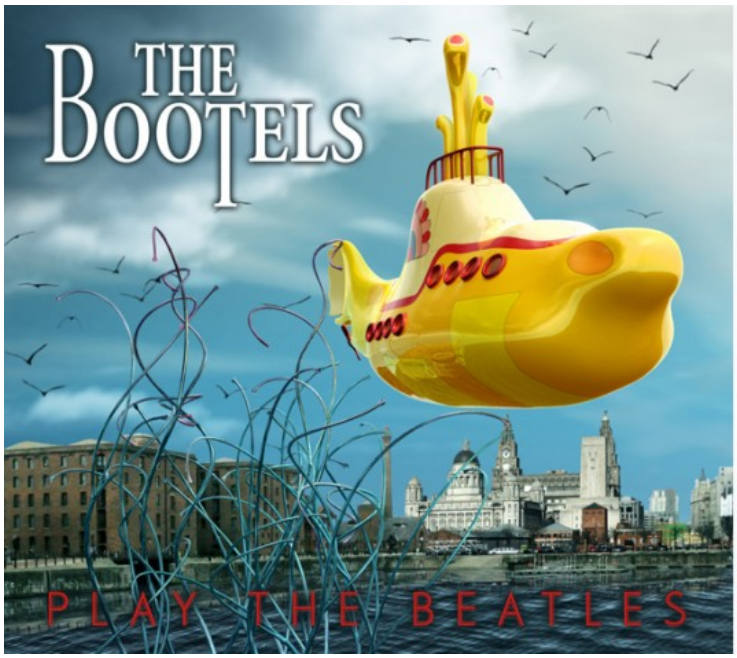
Na czym polega fenomen Beatelsów?

Myślę, że fenomen Beatlesów polega na wyjątkowym duecie,

który tworzyli Lennon i McCartney. Wspaniale współbrzmiące głosy, piękna harmonia, a do tego świetne kompozycje wyznaczały kanony gatunków muzycznych, które powstały na przestrzeni lat. Kompozycje są tak fantastyczne, że właściwie każdy utwór jest przebojem, co świadczy o ich naprawdę wielkim geniuszu i o tym, że na zawsze pozostaną w naszej świadomości muzycznej.

Strona zespołu The Bootels:

http://dalmafon.pl/thebootels/







Zespół The Bootels przed wejściem do legendarnego The Cavern Club w Liverpoolu. Od lewej: Andrzej „Żuk" Żukiewicz, Janusz Jeżyński, figura Johna Lennona, Piotr Jełowicki i Zbyszek Frankowski.

O zespole THE BOOTELS

Impulsem była miłość do muzyki Beatlesów. Dlatego członkowie The Bootels porozumieli się błyskawicznie i zaczęli grać piosenki słynnej czwórki. Grać tak, aby zachować ich ducha, ale jednocześnie dodać coś od siebie i sprawić, żeby mające po kilkadziesiąt lat utwory, brzmiały współcześnie. Bootelsi przearanżowali je w mistrzowski sposób: pozostawili m.in. charakterystyczne harmonie wokalne, ale dodali sporo gitarowego zgiełku i metalowej mocy. Sięgnęli po znakomite

instrumenty i wzmacniacze z lat 60. i 70., ale korzystają też z nowinek technicznych. Połączenie *feelingu* i czadu, tradycji i nowoczesności dało w ich wykonaniu świetne efekty. Od pierwszych taktów słychać w tych nagraniach style Beatlesów i… Bootelsów.

Łodzianie zmierzyli się z legendą chłopców z Liverpoolu, bo jak twierdzą, twórczość Johna, Paula, Georga i Ringo jest wieczna. Trzeba jednak dodać, że The Bootels to już także legenda. Legenda muzyków, którzy tworzyli historię polskiego rocka, a teraz spotkali się w łódzkiej supergrupie. Ich biografiami można by obdzielić kilka kapel.

Film o zespole:

https://www.youtube.com/watch?v=Kx-gYXsTTHM

Grający na gitarze basowej i śpiewający **Zbigniew Frankowski** w latach 60. grał w zespołach: Bardowie, Cykady, Śliwki i Vox Gentis (w duecie z Markiem Jackowskim, później liderem Maanam). Sukces osiągnął z grupą Quorum śpiewając piosenkę „Ach co to był za ślub” (I miejsce na festiwalu w Opolu 1970). Później występował w zespole Anawa z Markiem Grechutą, a następnie z Andrzejem Zauchą. Od 1974 r. akompaniował Maryli Rodowicz (m.in. „Kolorowe jarmarki” i „Remedium”).

Perkusista i wokalista **Andrzej Żukiewicz** uczył się grać na hitach The Beatles, a w 1984 roku przyszło mu występować w amsterdamskim klubie Blue Note z samymi The Platters, o których czterech słynnych liverpoolczyków mówiło, iż niektóre piosenki pisali będąc pod ich wpływem. Dwa lata później trafił do **Rezerwatu**, który w latach 80. był jednym z najpopularniejszych zespołów w Polsce. Współpracował też m.in. z Felicjanem Andrzejczakiem.

Gitarzysta **Piotr Jełowicki** grał w zespołach Pornografia i Monaliza oraz w legendarnej punkowej grupie Moskwa. W 1991 r. stworzył autorski projekt P.J. BAND i nagrał solową płytę. Otworzył jedno z pierwszych prywatnych studiów nagrań w Łodzi. W 1995 roku powstała druga płyta P.J. Band „Cash". Piotr jest autorem wideo szkoły „Nauka gry na gitarze", która została wydana przez Janusza Popławskiego i jego pismo „Gitara i Bas".

Janusz Jeżyński absolwent Łódzkiej Akademii Muzycznej, muzyk, multiinstrumentalista, kompozytor, aranżer, realizator dźwięku. Grał w kilku projektach muzycznych (PJ Band, Raze, Wariacje.pl). W 2009 roku wydał autorską płytę „Stajnia Augiasza", zrealizował kilka pozycji muzyki alternatywnej. Jego pasją przez wiele lat była elektronika, co w połączeniu z wykształceniem muzycznym zaowocowało wieloma projektami urządzeń dla firm elektronicznych i muzyków.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.

Rok 2008 był dla Bootelsów bardzo ważny. Wydali debiutancką płytę i pokazali się za granicą. W lutym zagrali w słynnym liverpoolskim klubie **The Cavern**, gdzie Beatlesi zaczynali wielką karierę. Muzyka łodzian tak się spodobała, że zostali zaproszeni na festiwal muzyki The Beatles „Beatleweek", który w sierpniu, jak co roku, przyciąga do Liverpoolu fanów słynnej czwórki z całego świata. Zespół odwiedził Anglię jeszcze raz w 2009 roku i łącznie zagrał w Liverpoolu prawie 20 koncertów. Od tego momentu zespół zagrał również wiele koncertów w całej Europie i setki w samej Polsce.

Drugi, album The Bootels **R-evulution** ukazał się w grudniu 2015 r. Został *zmasterowany* w legendarnym **Abbey Road Studios** w Londynie na urządzeniach, które wykorzystywali sami Beatlesi. Śmiało można powiedzieć, że gdyby jakimś cudem The Beatles przetrwał, tak jak np. Stonsi, to z pewnością grałby tak jak The Bootels. Brzmienie jest mocniejsze, interpretacja bardziej współczesna, choć to cały czas *rock and roll*. Udało im się niejako rozwinąć pomysły oryginalnych twórców poprzez własną interpretację i ciekawą aranżację. Bawili się przy tym świetnie, stąd znakomicie wykorzystane cytaty z innych gigantów muzyki jak Black Sabbath czy Led Zeppelin. Niewątpliwym rarytasem płyty jest fragmencik wywiadu udzielonego przez Paula McCartneya przy okazji jego ostatniego koncertu w Polsce w 2013 roku. Był to podobno jedyny wywiad, którego udzielił artysta podczas tej wizyty. Przeprowadził go

najlepszy znawca tematu redaktor Piotr Metz.

Jego też obszerny opis znalazł się wewnątrz okładki płyty. Oto fragment:

> Zazdroszczę teraz takim Bootelsom, że mogą bawić się naszymi ulubionymi utworami, kreując je na nowo po swojemu, choć w duchu oryginałów… zawsze będę kibicował takim zapaleńcom jak czwórka z polskiego Liverpoolu – Łodzi.

Album **R-evolution** został wydany również na winylu, który jest uzupełnieniem kolekcji miłośników tej klasycznaj już w końcu muzyki.

W sierpniu 2016 r. The Bootels byli na kolejym 30. jubileuszowym Beatleweek w Liverpoolu, gdzie zagrali kilkanaście koncertów.

Tyle historii, czas na muzykę, która broni się sama.

Galeria

Koncerty zespołu The Bootels








THE
BOOTLEGS

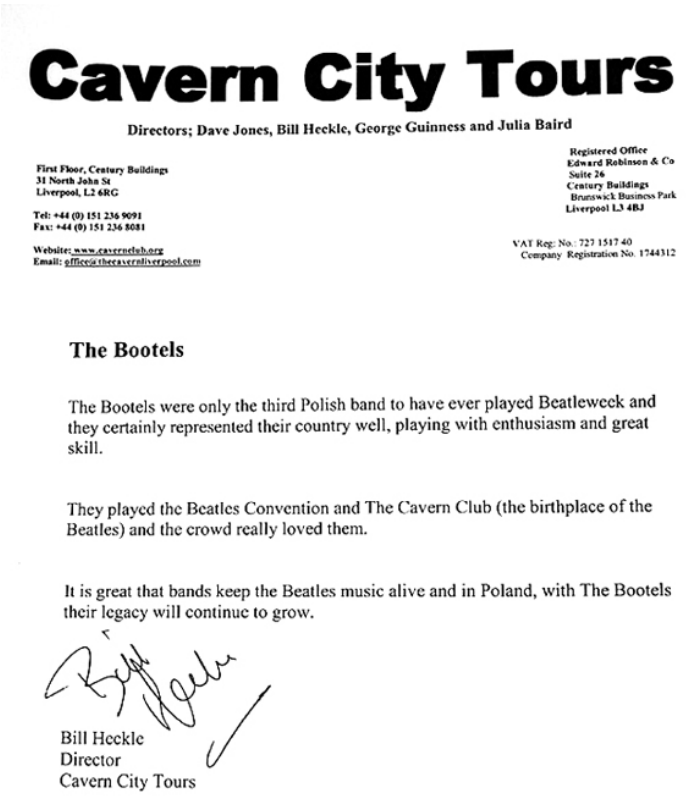

THE
BEATLES








A ONCE IN A LIFETIME ALBUM!
50 EXTRAORDINARY YEARS
50 FANTASTIC TRACKS
50 AMAZING ARTISTS
THE Cavern PUB
cavern
PUB
THE Cavern PUB



Cavern City Tours

Directors; Dave Jones, Bill Heckle, George Guinness and Julia Baird

First Floor, Century Buildings
31 North John St
Liverpool, L2 6RG

Tel: +44 (0) 151 236 9091
Fax: +44 (0) 151 236 8081

Website: www.cavernclub.org
Email: office@thecaverndliverpool.com

Registered Office
Edward Robinson & Co
Suite 26
Century Buildings
Brunswick Business Park
Liverpool L3 4BJ

VAT Reg: No.: 727 1517 40
Company Registration No. 1744312

The Bootels

The Bootels were only the third Polish band to have ever played Beatleweek and they certainly represented their country well, playing with enthusiasm and great skill.

They played the Beatles Convention and The Cavern Club (the birthplace of the Beatles) and the crowd really loved them.

It is great that bands keep the Beatles music alive and in Poland, with The Bootels their legacy will continue to grow.

Bill Heckle
Director
Cavern City Tours

Certyfikat wydany zespołowi The Bootels przez legendarny klub The Cavern.

Jan Goczoł. Poeta innego czasu?



Jan Goczoł, fot. Katarzyna Zawadzka.

Korespondencja z Polski

Leszek Żuliński

Pozwolę sobie zacząć od dygresji osobistej… Otóż Jan Goczoł i ja urodziliśmy się kilka kilometrów od siebie, z tą różnicą, że poeta piętnaście lat wcześniej. On wydał swój pierwszy tom wierszy w roku 1961, ja czternaście lat potem. Ale taka właśnie różnica wieku i startu literackiego wystarczyła, że jako debiutant miałem Goczoła od początku za „klasyka”. Był już zresztą znanym

działaczem społecznym i kulturalnym na Śląsku Opolskim. I redaktorem. Był „postacią literacką” i szybko stał się poetą cenionym, co mi imponowało. Potem przez dwie kadencje posłował w Sejmie, należał do warszawskich zespołów redakcyjnych, wydawał kolejne książki; jego autorytet umacniał się. I miałem to poczucie więzi z KIMŚ TAKIM, z mojej Opolszczyzny. Mam je do dzisiaj. Może nawet mocniejsze niż dawniej – teraz, kiedy Ślązacy stali się „podejrzaną grupą etniczną”.

Jan Goczoł nie był autorem zbyt płodnym (nie musiał; może i dobrze…), ale zawsze „ważnym”, toteż bardzo się ucieszyłem, biorąc po latach do ręki jego zbiór wierszy pt. *Z pogorzeliska*. Tym bardziej, że w ostatnich latach gdzieś „mi zniknął”. Oczywiście czasy się zmieniły – w samym Opolu pojawili się chociażby tak znani autorzy, jak m.in. Podsiadło, Różycki czy Rudnicki… Tak więc miejsce Goczoła zrelatywizowało się na całej tej mapie poetyckiej.

Czy stał się już poetą „innego czasu”? Hm, w jakiejś mierze na pewno. Młode, galopujące bizonki oddają nas do domów starców, ale – do diabła! – my jeszcze żyjemy, my jeszcze piszemy.

Ten tomik Jana Goczoła ukazał się – przypadkowo – w dobrym momencie, akurat – o czym wspomniałem – gdy rozpętała się absurdalna burza na temat polskości Ślązaków. A Goczoł jest, jak

mało kto, przykładem rdzennego Górnoślązaka i poety z krwi i kości polskiego. Właśnie jakby wzorcem homogenizacji historycznej, patriotycznej i kulturowej, kreującej na całej Ziemi szczególnie ciekawe inspiracje i cenne świadectwa czasu.

Wiersze w tym tomiku pochodzą z lat 1985-2010. To nie jest jednak klasyczny wybór – przeważają teksty z lat ostatnich. Jednak widać, że to minione piętnastolecie „przesuwało" Goczoła ku przeszłości, ku konstatacjom uniwersalnym, takim, jakie przychodzą do głowy, gdy sumujemy własne doświadczenia i patrzymy w przestrzeń pozbawioną jasnej perspektywy.



Dostrzec tu można wyraźnie trzy wątki. Pierwszy – to właśnie wątek śląski. Podyktowała go świadomość przynależności do własnej tradycji i kultury, ale chyba jeszcze bardziej nostalgia za upływającym czasem. Goczoł jest teraz w takim wieku, że to wystarczy, by znać i pamiętać zmiany pogody nad swoją ziemią, i to nasączone tymi archetypami, tą „przedpamięcią", jaką wszyscy wynosimy z rodzinnych domów ojców i dziadków. Tradycja śląska pojawia się już na pierwszych

stronicach zbiorku, w odwołaniach do Angelusa Silesiusa i Jana Nepomucena, ale szybko te wiersze powiewają naszym czasem. Jak ten, którego mieszkańcami są emigranci i gastarbeiterzy – wnukowie Starego Ślązaka – rozrzuceni po całym świecie. Ale ta postać Starego Ślązaka jest tu najważniejsza i bardzo symboliczna – to jakby matuzalem i patron, rdzeń z rdzenia, kość z kości, opoka… I choć świat ucieka mu spod nóg, on splunie w dłonie, podniesie topór i jak gdyby nigdy nic będzie *rąbał drewno na zimowy opał*. Ładna metafora, nośna, jednak jakby wzięta z mitologii, z baśni, która za lasami za górami. Tak czy owak Goczoł opowiada swoje Macondo, opowiada jakiś etos; strach pomyśleć, że coraz bardziej daleki. Lecz ta nuta śląska brzmi w tych wierszach mocno, co znaczy, że Goczoł twardo się trzyma korzeni. Czy mogło być inaczej? Inaczej – w jego wierszach?

***

Drugi wątek, to sprawy współczesne. Nasz świat, nasze problemy i wahania. Nie ma tych wierszy dużo, ale jak już – to już. Cytuję w całości wiersz bez tytułu:

> Mów monosylabami, najlepiej
>
> ich ćwierciami, ledwie słyszalnymi, by

> ulatywały bezpowrotnie, nie wracając
>
> wołami zapierającymi się w ziemię
>
> coraz bardziej grząską po tych kwaśnych deszczach
>
> między Wisłą a Odrą. Już od wielu pokoleń
>
> tak padają. Chociaż coraz to ci z góry
>
> zmianę pogody obiecują.

To tekst uniwersalny, to wiersz-przesłanie o wysokich walorach aksjologiczno-etycznych, a równocześnie może być czytany jako sarkastyczny utwór „polityczny”, i to bardzo dziś aktualny. Tu widać całą dyscyplinę warsztatową tej poezji, jej umiar i wyciszenie, a jednak sens paraboliczny jest tu czytelny aż do bólu, ostry i niekompromisowy.

Goczoł daje popis poezji znakomitej, wyrafinowanej i „mocnej”. Ale swoje „bunty” przemyca ze stoickim spokojem, w wyciszeniu, w tonacjach lirycznych; m.in. jest świetnym „malarzem znaczeń” i „pejzażystą”, myśli obrazem, tłem, nastrojem, aurą; nie jest ani nowatorem, ani tradycjonalistą, a to z tego oczywistego powodu,

że znalazł już dawno swoją nutę osobną. Wprowadza nas w swoją realną prywatność, jak np. w kolędowanie u państwa Wysockich, przyjaciół (aż trzy wiersze na ten temat!) czy w oczarowania (wiersze bieszczadzkie).

Niechaj nas jednak ta kameralność nie odurza swą estetycznością lub czystym liryzmem. To są wiersze „gęste", „napakowane", o dużej wadze problemowej.

***

I już docieram do trzeciego wątku, najobszerniejszego w tym tomie, najbardziej bolesnego i chyba najbardziej przejmującego. Ów tytułowy w tej recenzji „poeta innego czasu", to nie tylko strażnik przeszłości, to także „zegarmistrz czasu przyszłego". Ale to już się dzieje na zupełnie innej płaszczyźnie – Goczoł opisuje swoje własne „pogorzelisko" egzystencjalne. Te wiersze są chyba najbardziej przejmujące – bowiem „schyłkowe", oswajające własny kres, odchodzenie, znikomienie, dobieganie do mety. W kurtuazyjnym odruchu można by zakrzyczeć: „Panie Janie, a dajże Pan spokój", ale nie zrobię tego, bowiem wszyscy wiemy, że gdy się ma tyle lat, to niemal każdy przymierza czarny garnitur i podsumowuje swoje przeżyte dni. Jednak każda poezja egzystencjalna, metafizyczna, profetyczna w wieszczeniu własnego kresu, to piętro najwyższe, jakiego możemy sięgnąć. Goczoł opowiada swoje „słabnięcie", swój odmarsz niezwykle

subtelnie i z wielką mądrością, którą nasyciło go życie. Mądry jest jego stoicyzm, łagodność, pogodzenie z losem i niezakłamywanie tej wspólnej wszystkim prawdy, ale zawsze najdosadniej prywatnej i beznadziejnej. Ten wątek uważam za apogeum, jakie tu znajduję; to wiersze wielkiej urody, pogodnego smutku, wnikliwego, intymnego autodefiniowania oraz oswajania własnej Nocy. Rzekłbym, że nawet jakiś klasyczny epikureizm tkwi w tym stoicyzmie i trudnej spowiedzi z własnej kondycji.

Tomik zamyka wiersz pt. *Post scriptum*, będący a propos tego, co napisałem powyżej:

> Te wiersze są jak ryby wyrzucone przez rzekę
>
> na wysoki brzeg; z ogromny trudem łapią oddech.
>
> Należy je czytać zgodnie z ich oddechem, tak
>
> jak się z rzeki wynurzały i w nią zapadały –
>
> jedno zdanie na tydzień, nieraz i rzadziej,
>
> póki się nie skropliły ich wieczności.

> Ciemne zawiesiny powinny pozostać nienaruszone –
>
> anegdoty, jakie przesłaniają, niczego nie wyjaśnią,
>
> wiodą mylącymi tropami. Może jedynie na chwilę
>
> w samotnym milczeniu rozbłyskują ich twarze,
>
> odżywiają się dalekimi głosami.

Ten wiersz, autotematyczny w swym pierwszym planie, to przecież wiersz o udręce niemocy i zdyszanym dobieganiem do mety. Co ciekawe: bliźniaczym wierszem jest utwór na początku tomu, drugi z kolei. To klamra, która spina wszystko, co tutaj najważniejsze i najbardziej dramatyczne.

Tomik ważny, bogaty, różnorodny, skupiony, intymny, bolesny i bardzo mądrze wmyślający się w krajobrazy zewnętrzne i wewnętrzne Czasu, który Jan Goczoł chce ogarnąć w poczuciu własnego zmęczenia i rozczarowania światem, choć po horacjańsku ukochanym.

Jan Goczoł *Z pogorzeliska*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2011, s. 64.

Jan Goczoł (ur. 13 maja 1934 r. w Rozmierzy) – polski polityk, poeta, w latach 1985–1991 poseł na Sejm IX i X kadencji.